

BRACIA STRACH

I INNE OPOWIADANIA

BRACIA STRACH

Pewnego letniego popołudnia Antoni wyszedł z domu, żeby załatwić na mieście jedną z tych spraw, które możemy odkładać tak długo, dopóki nie grozi nam pożar lub pójście do więzienia.

Wsiadł do windy i w tym momencie poczuł, że to małe chybotliwe pudełko jest ostatnim bezpiecznym miejscem na Ziemi, jakie mu pozostało, a na dodatek za kilka sekund będzie musiał je opuścić. W windzie, jak zwykle, było ciemno, toteż przez chwilę obserwował, jak w wąskiej szczelinie między skrzydłami wewnętrznych drzwi światło to skraca się, to wydłuża, jak słupek rtęci w termometrze wkładanym na przemian to do lodu, to znów do wrzątku.

Stosownie do jego pozycji oblewał się potem – raz gorącym, raz zimnym, zastanawiając się, póki co w miarę spokojnie, co też to może właściwie znaczyć?

Przed samym parterem winda zwolniła i słupek światła podnosił się jeszcze przez chwilę aż do zupełnego zatrzymania, co oznaczało zanik wahań i ustalenie pozycji odpowiadającej najwyższej temperaturze. Antoni rozdarł

drzwi wewnętrzne beznadziejnym, rejtanowskim ruchem i pchnął zewnętrzne – z nieprzyjemnym poczuciem gwałtu: po trosze na samym sobie, a po trosze na czymś nieokreślonym a wielkim, czego obecność za nimi przeczuwał. Rzucił spojrzenie skrzynce na listy – maleńkiemu, wymarłemu blokowi więziennemu dla krasnoludków albo myszy. Jest! Coś jasnego! Wyciągnął kluczyk i otworzył swoją szufladkę.

Przekłęte bachory! W skrzynce na centymetrowej warstwie kurzu, jak żabka w wyschniętej kałuży, tkwił szarozielony papierek od miętowego cukierka.

Nawet nie reklamowa ulotka!

Nie, nie, nie. Nie spodziewał się listu. Najwyżej zawiadomienia z administracji, jakiegoś upomnienia o zaległą należność, które mógłby przeczytać ze złością odwracającą uwagę na czas potrzebny do pokonania drogi z domu do autobusu. Przeczuwał bowiem, że będzie to droga o wiele trudniejsza niż zwykle...

Papierek od cukierka nie mógł rozżościć go na dłużej niż ułamek sekundy. Tym samym to, co miało nieuchronnie nastąpić, odwlokło się tylko na krótko i wlokąc ten odwłok za sobą, czekało... nawet nie za rogiem, ale tuż za progiem!

To, co zobaczył, poraziło go kompletnie. Schodki od bramy do chodnika biegły wprawdzie jak zwykle w dół i były ich jak zawsze pięć, ale dalej? Dalej rozpościerał się chodnik – przeraźliwie jasny, oblany słońcem rozproszonym na sinych chmurach, a na dodatek: wielokrotnie odbitym od szyb budynku z przeciwka. Ten chodnik był tak rozległy... Tak rozległy jak zawsze, ale to wystarczyło aż nadto. Dość powiedzieć, że od sąsiedniego budynku dzieliła Antoniego

po prostu – czeluść! A co dopiero mówić o drodze do przystanku autobusowego?!

To już nie była odległość. To była rozległość – niezmiernego, niemierzalnego wprost parkingu z kilkoma skąpo rozstawionymi latarniami, słabo jeszcze o tej porze dnia załtowanego. Ani go przeskoczyć, ani przejechać, ani przefrunąć, a na samą myśl o spokojnym przejściu noga za nogą człowiek dostaje zawrotów głowy. Niby się to robiło dotąd codziennie, czasem i kilka razy dziennie, a jednak wprawa i rutyna, a przede wszystkim wyćwiczona obojętność na tak banalną czynność gdzieś, psiakrew, poznikały. Ich miejsce zajęło podszyte horrorem pytanie, czy to w ogóle jest możliwe, a jeżeli, to jak, na miłość boską – jak?!

Antoni patrzył odrętwiały na pejzaż dobrze mu znany – z góry, z dołu, z boku, na wprost. Ze wszystkich planów, jak się to ładnie mówi. Ten pejzaż wcale się nie zmienił, przynajmniej w ogólnych zarysach. Tyle tylko, że słońce stało dość nisko – było prawie na wysokości oczu i raziło nawet, gdy mrużył oczy lub odwracał głowę. Raziło go odblaskiem od sinych chmur. Czy w tym oświetleniu rzeczywistość mogła być aż tak odmienna? Czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby miał przy sobie przeciwśoneczne okulary i niezwłocznie włożył je na nos? Przecież wiele razy oglądał świat w podobnym świetle.

Stało się coś zupełnie innego.

Zauważył – JA.

Zauważył – PRZESTRZEŃ.

Ona, owszem, istniała w nim dotąd, ale... jakoś... tak... pokątnie. W postaci niechlujnie zwisających – i nie wiadomo nawet z czego – strzępów relacji między przedmiotami

i zjawiskami. A te przedmioty i zjawiska, co tu kryć, dość bałaganiarsko przekształcały się w nim w symbole, na których bezwiednie dokonywał myślowych operacji.

Fe! Nieładnie! Widocznie musiał zostać ukarany za to potworną iluminacją, która nadeszła bez ostrzeżenia.

Bez popadnięcia w psychozę, bez narkotyków, bez medytacji, bez kontemplacji, słowem: ni stąd, ni zowąd przeżył następujące objawienie. Otóż poraziła go świadomość istnienia wokół świata złożonego z mniejszych i większych przedmiotów – rzeczywistości zupełnie niezależnej od tego, czy mu się ona podoba, czy nie.

Nagle spostrzegł, że żyje w samym środku kuli wyznaczonej przez zasięg wzroku, choć może raczej należałoby powiedzieć uczciwie – zasięg optycznego złudzenia. Raz na zawsze zakreślona spojrzeniem kula nie przestałaby istnieć, nawet gdyby oślepl. Ona wybrała go na swoje centrum, a on w zamian za to zmuszony był ją nosić z sobą wszędzie.

Jej zewnętrzna powierzchnia sięgała dalekich gwiazd, a nawet galaktyk. Można ją było nadmuchiwać przez tubusy teleskopów do gigantycznych rozmiarów. Niektórzy, słowo daję, robili to zawodowo, nie czując przy tym nawet krztyny lęku!

Antoni zląkł się nie na żarty.

W jego przypadku doświadczenie, potoczne i z pozoru tak niewinne, okazało się perfidną karykaturą wyobraźni, w której miarą odległości pozostała liczba stawianych kroków.

Tych było prawie zawsze – za wiele.

Niemal każdy człowiek ma poczucie obowiązku wobec ludzkości, żeby nie wyjść na głupka. Antoni – także. Tymczasem oto stał jak głupi na progu domu i trząst się. Nagle opuściła go najelementarniejsza nawet odwaga. Wydawało

mu się, że ma przed sobą wąską kładkę rozpostartą nad przepaścią, choć był to raczej szeroki chodnik, który wraz ze wszystkimi przyległościami w postaci mniejszych i większych domów, uliczek, placu parkingowego, dalekiej jezdni i jeszcze dalszych kominów na horyzoncie był niejako przykryty odwróconą przepaścią jak czapką wymoszczoną przytulnym puchem atmosferycznych gazów.

Naprawdę chciał, a nawet musiał dojść do autobusu. Przez pulsujący plac, jak przez rozedrganą soczewkę niespokojnej wody, widział dwa stojące na pętli. Pierwszy na pewno mu ucieknie, ale drugi... Jeśli tylko uda się natychmiast ruszyć z miejsca różnym marszowym krokiem... Jeśli! Łatwo mówić, a tu tymczasem serce tłucze się na wysokości krtani, koszula przylepia do pleców, nogi i ręce drżą jak przed najgorszym egzaminem w życiu.

Nie wiadomo tylko, czego właściwie się bał. Czy samej przestrzeni? Czy może raczej – siebie w niej, a w szczególności swego ciała: skomplikowanego urządzenia, które przecież nie na długo oddano mu do dyspozycji. I które – co wydaje się najbardziej niepokojące – działało całkiem niezależnie od niego i dużo sprawniej niż on.

Był w tym ciele uwięziony. Tkwił w nim na najwyższym piętrze w maleńkiej celi o ścianach z kości – wypełnionej białą-szarą tresowaną galaretą o fantastycznych pofałdowaniach, którą co chwila wstrząsały wyładowania elektryczne. Czuł się schwytyany między okładki kondensatora – jak skazaniec na krześle elektrycznym. Na dodatek spłaszczony niby między kartami grubej książki – tłustą plamką wpisany między druk. Zewsząd otoczony informacją, a jednak sam – zupełnie zdezorientowany.

Co gorsza, nie był tylko ślepą plamką źle udającą znak graficzny. Był zagubioną choć zarazem najwrażliwszą na światło

plamką na dnie gigantycznego oka. Zatem – lustrem świata, w którym odbijała się cała przestrzeń, drążąc pozorną głębię.

Ta głębia rozrastała mu się na plecach w potężny garb – wielki reflektor czy też po prostu banię z mydła, do której opalizującej powierzchni przylegał jak maleńka owocowa muszka.

Gdyby wierzył, mógłby się teraz modlić, ale wewnątrz jego garbu odbijało się wszystko prócz Boga, a poza tym, czy potrafiłby pacierzem zaszeptać ścielącą się przed nim ścieżkę, której nie miał odwagi zdeptać? Czy umiałby przepowiedzieć ją sobie jak różaniec z płyt chodnikowych – bezmyślnie, ale szybko i gęsto wypełnić ją treścią zastygającą jak cement i martwą jak posągi?

Wpadło mu do roztrzęsionej głowy, że może powinien wrócić do domu i zażyć jakiś środek uspokajający. Gdybyż go jeszcze miał! A poza tym mógłby przysiąc, że jeśli nie wyjdzie teraz, to już nigdy się na to nie zdobędzie. Wszystko jedno, czy to ten piekielny plac, czy raczej on, Antoni, jest tym koniem, na którego należy wskoczyć zaraz po upadku.

– Jak to – myślał gorączkowo – więc nigdy już nie będę mógł normalnie żyć?

Dźgnięty tą wizją jak ostrogą nabrał powietrza w płuca i prawie runął głową naprzód. Odzyskał równowagę po trzech susach i puścił się w bieg. Na wprost! Do oddalonej najwyżej o trzydzieści metrów bramy domu z przeciwka.

Dzieci bawiące się w piaskownicy powstawały i odwróciły głowy w jego stronę, ale dorośli przechodnie nie poświęcili mu więcej uwagi niż chmarze wróbli, którą przepłoszył, śmigając obok drzewa i omal się z nim nie zderzając. Na

dorosłych musiał zrobić po prostu wrażenie młodego, wysportowanego mężczyzny, którego rozpiera energia i chęć życia, i wiecznie go korci, żeby bodaj podbiec czy podskończyć.

Gdyby to było o kilka lat wcześniej, wpadłby do klatki schodowej. Na nieszczęście od pewnego czasu dostępu do wnętrza broniły zamknięte na klucz drzwi z domofonem.

Teraz musiał skorzystać z gościnności przylegającej do klatki schodowej komórki śmietnika.

Smród, który go tam oczekiwał, trochę go otrzeźwił.

Należałoby doprawdy zastanowić się nad podsunięciem psychiatrom nowego sposobu leczenia lęków i obsesji – za pomocą smrodu. Nic tak skutecznie nie sprowadza nas na ziemię jak zdrowy, swojski smród, wobec którego nasz mózg przestaje natychmiast brykać i z temperamentnego, narowistego ogiera przemienia się w otępiełego muła. A potem zaczyna snuć smuzkę spokojnych rozważań.

Przez chwilę stał obok dużego kontenera, z którego wystawały foliowe worki i tekturowe pudełka, i cieszył się, że nie udało mu się wdrzeć do klatki schodowej, bo gdyby tak się stało, może nawet w panice zapukałby do czyichś drzwi, kompromitując się ostatecznie. Już nie tylko przed sobą, ale i przed innymi, którzy odtąd zaczęliby go wytykać palcami.

Blok był identyczny z jego blokiem. Zatem i mieszkania były w nim identyczne. Zawsze go trochę bawiło to powielanie przestrzeni w dwóch wersjach – lewej i prawej. Gdyby odwiedził takie mieszkanie – podobne do jego mieszkania lub będące jego lustrzanym odbiciem – czułby się doprawdy jak u siebie w domu. Pomijając, naturalnie, pewne drobiazgi.

Pomijając na przykład nagłą i niespodziewaną obecność kanapy zwanej „wersalką”, nie mającej wszakże z Wersalem zbyt wiele wspólnego – w miejscu, gdzie u niego leżał po prostu materac.

W każdym z bloków było takich mieszkań po cztery na piętrze, co daje razem czterdzieści. Na osiedle składało się co najmniej piętnaście bloków, więc lekko licząc, w mieszkaniu Antoniego żyło parę tysięcy ludzi, każdy ze swoim telewizorem i wersalką. Co więcej, teraz, w opłakanym stanie, w jakim się znalazł, mógłby zapukać do dowolnych drzwi i powiedzieć: „Proszę mi podać z komody przeciwstłoneczne okulary. Co? Nie ma ich? I komody też nie ma? Najwyraźniej zostałem okradziony! Muszę to zgłosić na policji...”. I dać drapaką zanim na policję zadzwonią lokatorzy na widok potencjalnie niebezpiecznego szaleńca.

Chyba dobrze, że do tego nie doszło, a jeszcze lepiej, że smród w śmietniku zrobił się nieznośny i trzeba było koniecznie wyjść.

Przytulna klatka schodowa nie zaoferowałaby mu takich możliwości. To było jak kopniak na drogę ofiarowany niedoświadczonemu spadochroniarzowi przez opiekuńczego dowódcę.

Opuszczając śmietnik, rzucił jeszcze przelotne spojrzenie na kontener. Uwagę jego przykuł zatarty w środku napis: BR.... ...ACH. Złapał się za głowę: przeczytał raz jeszcze, drugi i trzeci. Na tym osiedlu śmieci wywozi jakaś firma, z której nazwy zostało tylko: „brrrr!” i „ach!”. I musi to być czysty przypadek. A czy istnieje coś bardziej uspokajającego niż czysty przypadek w samym środku śmietnika? Jedyne na świecie skuteczne lekarstwo na to, co najgorsze – pedanterię przeznaczenia.

Wszystko to razem wystarczyło mu do tego, aby się wreszcie uspokoić i ruszyć w drogę tym razem naprawdę, na całego. Ruszył więc, wciąż zaśmiewając się w duchu z kontenera „brrrr!” i „ach!”. Upojony łatwym zwycięstwem zaczął wręcz kluczyć pomiędzy latarniami, wycinając dla przedłużenia przyjemności koła i ósemki. Pijany dumą miał ochotę zdrzeć do góry głowę i krzyknąć na całe gardło:

– Nic mi nie zrobisz, przekłeta pokrywo!

Oczywiście autobusy mu uciekły, ale siedząc w małej szklanej budce, której, żeby nie mnożyć bytów bez potrzeby, nie nazwiemy wiatą, zaczął nawet pogwizdywać.

Mógł teraz czekać i czekać, choćby do zmroku i choćby nie wiadomo na co.

I co, mój czytelniku? Nie lubisz historii ze szczęśliwym zakończeniem? Pewnie uważasz, że są zarazem nieprawdopodobne i banalne.

Mnie też to kiedyś skutecznie wmówiono, podobnie jak Tobie.

Zatem pocieszmy się wspólnie. Kiedy tylko minęła euforia wywołana chwilowym pokonaniem demona przestrzeni, Antoni zdał sobie sprawę, jak wiele zmieniło się w jego życiu tego popołudnia. Już kiedy wracał do domu, zrozumiał, że odtąd będzie zawsze chodził tą samą drogą – choć to nie po drodze – że będzie musiał bodaj otrzeć się o zamkniętą bramę śmietnika z kontenerem BR... ..ACH w domu z przeciwka, choć ten rytuał nie doczeka się nigdy rozsądnego uzasadnienia. Strach pomyśleć, jakie miałby wyjście, gdyby tam nagle zabrakło tego śmietnika!

Zwycięstwo nad przestrzenią było więc cząstkowe i niehonorowe. Było wybiegiem tchórza, a nie triumfem rycerskim. Potrafił przedostać się z domu na przystanek autobusowy,

ale musiał przy tym oszukiwać na potęgę. Grać znaczonymi kartami, kłamać, fałszować czeki. Kosztowało go to wprawdzie niewiele – zaledwie małe nadłożenie drogi – ale oznaczało zgodę na sprzeczną z rozumem i wolą konwencję, raz na zawsze ustalony, śmiesznie niewygodny tor.

W kilka dni po pierwszym napadzie lęku zaopatrzył się w krople walerianowe i nosił zawsze przy sobie ten damski, dziewiętnastowieczny, niewinny prawie-lek. Miał je w bocznej kieszonce – zależnie od pogody – marynarki lub kurtki. Od razu też powiedział sobie: to ostateczność. Samo ich posiadanie powinno go uspokajać – jak więźnia uspokaja trzymana pod policzkiem fiołka z trucizną, której przecież wcale nie będzie musiał rozgryźć, o ile tylko jego odwaga przewyższy dostatecznie wymyślność tortur.

Z premedytacją nie zabierał nigdy z sobą kostek cukru ani tyżeczki. Miał te krople i sam sobie nakazał, by mu to wystarczyło. W chwili poważnego zagrożenia mógł zawsze wyrwać zębami korek jak zawleczkę granatu i całą zawartość wlać sobie w gardło niczym pijaczyna, który po dniach posuchy dorwał się wreszcie do czegoś na spirytusie.

Byłby to chyba widok dostatecznie męski i zrozumiały sam przez się.

Od owego feralnego dnia przestał też ruszać się z domu bez naglącej potrzeby. Ograniczał się do wyjścia do pracy, a zakupy robił w drodze powrotnej. Za to do zmroku, a czasem nawet i dłużej przesiadywał na balkonie, jak w maleńkim, pustynnym, otoczonym kamiennym murem ogródka, zamkniętym od góry podłogą balkonu wyższego piętra.

Poprzez boczne balaski widział tylko trzy kominy fabryczne i skrawek nieba. Ten niewielki, prostokątny otwór podzielony

prętami był jego bezpiecznym wziernikiem w czeluść świata. Przy jego pomocy pobierał ostrożnie próbki rzeczywistości. Właściwie – stale jedną i tę samą próbkę: trzy dymiące kominy: dwa niskie i grube, jeden wysoki i cienki oraz – na okraś – skrawek błękitu, bieli, szarości lub zgoła – ciemności.

Jego camera obscura pracowała nieprzerwanie, rejestrując zmiany oświetlenia, podczas gdy on, rozparty na miękkim krześle, w razie chłodu przykryty swetrem albo nawet kocem, towił uchem dźwięki dochodzące z sąsiednich okien i balkonów.

Doskonale słyszał, co dzieje się w sąsiednich mieszkaniach, ale prawdę mówiąc, niewiele go obchodziły szczegóły. Jeżeli czegoś naprawdę potrzebował, to tylko atmosfery cudzej intymności. Pragnął, by przepływała ona przez niego jednostajnym strumieniem – żeby mógł się w niej pлавić z braku własnej, bo przecież samotność nie jest ostatecznie żadną intymnością, najwyżej jej sterczącym kikutem.

Pragnął, by ten spokój codziennej krzątania, zapożyczany chyłkiem od rodzin z sąsiedztwa i smakowany przez długą niewidzialną rurkę drenującą okoliczne mieszkania, trwał wiecznie.

Nie mógł jednak trwać wiecznie z pewnej prostej przyczyny. Antoni nie był sam na świecie. Miał żonę – co prawda była – i pięcioletniego synka, z którym, zgodnie z postanowieniem sądu, spędzał raz w tygodniu co najmniej kilka godzin.

Jednak jego była żona uważała, że to i tak za wiele, bo przebywanie z ojcem wyraźnie Nunusiowi szkodzi i to, co gorsza, na zdrowie.

Tak właśnie była żona Antoniego wraz z całą swoją rodziną nazywała synka, który naprawdę miał na imię Norbert. I cóż Antoni mógł na to poradzić?

Czasami Nunuś się zaziębiał i zostawał w domu. W domu matki, ma się rozumieć. Ściślej, w olbrzymiej willi swego dziadka-dentysty, bo tam zajmowali całe piętro, kiedyś razem z Antonim, a teraz sami – póki co, gdyż zarówno dziadek-dentysta jak i reszta rodziny intensywnie poszukiwali kandydata na męża dla córki – ładniutkiej rozwódki z posagiem.

Barbara, bo tak miała na imię matka Nunusia, mogła zawiadomić swego byłego męża przez telefon, ale wolała w takich razach przyjechać sama, żeby się z nim rozmówić. Tak to nazywała: „rozmówić się” zamiast na przykład: „porozmawiać”, podobnie jak jej ojciec, dentysta, który też zawsze jakoś wolał rozmówić się niż porozmawiać.

Pewnego dnia była żona Antoniego przyjechała bez synka swoim cytrynowym, modnym samochodzikiem, którego sylwetka przywodziła na myśl stopy dawnych chińskich arystokratek – od dzieciństwa wykoślawiane między deszczułkami aby nie rosły – i powiedziała ostrym tonem:

– Nunuś jest chory, ma anginę. Myślę, że wiesz dlaczego.

Antoni oczywiście wiedział, bo powód był nieodmiennie ten sam.

Barbara jednak powtórzyła dla pewności.

– Wiem wszystko od Nunusia. Zawsze byłeś nieodpowiedzialny, ale tym razem przekroczyłeś wszelkie granice. Nie przerywaj mi! – krzyknęła, choć były mąż jeszcze nie otworzył ust. – Jeżeli już pozwalasz dziecku leżeć na podłodze, to połóż przynajmniej koc pod balkonowe drzwi. Może ty się przyzwyczaiłeś, ale tu strasznie wieje! Pozwól mi skończyć! Dlaczego do tej pory nie kupiłeś dywanu? Przecież pod tymi płytkami jest lodowaty cement. Jeżeli nadal się upierasz przy spotkaniach tutaj a nie u nas... Dziękuj Bogu, że nie dostał zapalenia płuc.

– Kto? Cement? – Antoni próbował jakoś rozbroić Barbarę, ale, zdaje się, niezbyt zručnie, bo zamiast tego usłyszał:

– O, tak! Ty potrafisz być cyniczny! Najszczęśliwszy byłbyś, gdyby Nunuś rozchorował się i umarł. Miałbyś z głowy ten okropny kłopot, no i miałbyś mnie z głowy. Nareszcie pozbyłbyś się kogoś, kto ci zastępuje sumienie, którego nie masz. Byłbyś wreszcie zupełnie bezkarny. Chwileczkę, teraz mówię ja! Mam zamiar się postarać o ostateczne, prawne rozstrzygnięcie tej kwestii. To dziecko wraca od ciebie roztrzęsione, znerwicowane. Bredzi przez sen i nie może spać. Pięcioletni chłopczyk! Ma bóle głowy. Może jednak pozwolisz mi się wypowiedzieć do końca?

– Basiu – przerwał jej dość ostrożnie, ale stanowczo – jeżeli bredzi przez sen, to znaczy, że jednak sypia. To jasne, że boli go głowa, skoro ma anginę i gorączkuje. A znerwicowane są dzisiaj wszystkie dzieci. Może, kto wie, po prostu normy są przestarzałe na nasze wariackie czasy?

– Mam zamiar pójść z nim do psychiatry – ciągnęła dalej wątek Barbara, która najwyraźniej wolała się trzymać starych norm, nawet gdyby się okazało, że żadną miarą nie pasują do czasów. To, co przed chwilą usłyszała od ojca swego dziecka, potraktowała więc jedynie jako wygodną pauzę dla nabrania powietrza. „Traktować kogoś jak powietrze” – to powiedzenie nabierało w jej ustach zdumiewająco dosłownego znaczenia!

– Nie, to jednak jest niesamowita kobieta – pomyślał Antoni i sam nie wiedząc kiedy, zaczął się do niej zbliżać milimetr po milimetrze, gdy tymczasem ona perorowała dalej:

– Będę zmuszona pójść z Nunusiem do psychiatry. Tak, zdam się całkowicie na decyzję lekarza. Pozwól mi wreszcie skończyć. Jeśli on stwierdzi, że źle wpływasz na dziecko, to

niestety będziesz musiał się odsunąć. Zostaw mnie! Zwa-riowałeś?! Czy to jest odpowiedni moment, pominąwszy wszystko inne?!

Tak właśnie zareagowała była żona Antoniego, kiedy w trakcie rozmowy, po raz któryś z rzędu, próbował ją objąć i przytulić.

W filmach zawsze w takich razach ludzie przechodzą od kłótni do pocałunku lub przynajmniej – dobrotliwego poklepywania się nawzajem po plecach. Ale to nie film, moi mili, toteż Barbara próbowała się wyrwać z jego ramion, co naturalnie działało na niego jeszcze bardziej zachęcająco. Pachniała przy tym jak zwykle perfumami „Pilar Rodrigues”, które kupował jej zawsze ojciec-dentysta, bo nawet gdy byli z Antonim małżeństwem, jego było stać co najwyżej na najtańsze podróbki. A „Pilar Rodrigues”, zwłaszcza oryginalne, to jednak „Pilar Rodrigues”. Nie bez przyczyny noszą swoją iberognistą nazwę – są odurzające, piżmowe, duszne, żeby nie powiedzieć: gorące i jakoś dziwnie dojrzałe, dogłębnie kobiece. Poza tym Barbara miała na sobie szaroniebieski moherowy sweter – z pewnością z autentycznych kóz angorskich – o szerokich rękawach obnażających co chwila jej ręce do łokci, gdy je dość pretensjonalnie wznosiła i załamywała. W bez mała większym od całego swetra golfie tonęła krótko przystrzyżona czarna główka. A spod tych wszystkich zapraszających rozchyleń atakowało Antoniego dobrze mu znane cielesne ciepło tej zotzuni, która stawiała się zupełnie znośną, ba, atrakcyjną kobietą, kiedy tylko przestawała mówić.

Wówczas odczuwał rodzaj silnie podczerwonego promieniowania emitowanego spod jej ubrania i bielizny, które w niczym nie przypominało niewinnego żaru kominka, za to ogniskowało się jak w soczewce w dzielącej ich warstwie powietrza, niestety, jak na złość, zawsze w tym samym

miejscu, rozkosznie paraliżując lędźwiowy odcinek jego kręgosłupa.

Gdyby tylko zechciał, ta warstwa przestałaby ich dzielić, ale czy rzeczywiście chciał?

O ile jeszcze pamiętał, w tym niezdrowym związku prześladowała go ciągle zmysłowa tęsknota topologiczna: DOTYKAĆ WSZYSTKICH MIEJSC NA RAZ WSZYSTKIMI MIEJSCAMI NA RAZ. I wieczne nieporozumienie wynikające z nadziei, że ta tęsknota znajdzie zaspokojenie w zetknięciu tylko dwóch miejsc. Z innymi kobietami wszystko miało właściwe proporcje. Ten przypadek zbyt wiele go kosztował i należało o tym pamiętać za wszelką cenę.

– Przepraszam, Basiu – powiedział pokornie. – Zapomniałem się.

– Nie chciałabym, żebyś mnie źle zrozumiał – odparła, powracając gładko do swego gdakania, jakby naprawdę o niczym innym nie było tu mowy ani gestu. – Dam ci jeszcze jedną szansę. Za dwa tygodnie przyprowadzę Nunusia i mam nadzieję, że nie zaziębisz go ani nie rozdrażnisz. Cześć!

Tej nocy Antoni miał okropny, a co gorsza niemożliwy do opowiedzenia sen. Usiłował w nim objąć ramionami wielki, niepokojący i niezidentyfikowany kształt, który go przygniatał swoim ciężarem.

Od pewnego czasu szczególnie lubił sny za ich absolutnie bezprzestrzenne środowisko, w którym miejsca – jak w filmie – pozwalały się odwiedzać bez ruszania się z miejsca.

Tymczasem oto teraz przestrzeń uśpiła jego senną czujność i bilionami neuronów przetoczyła mu się do podświadomości, deformując idealne płaszczyzny snów. I stały się własną karykaturą – jak książka-topielec wyłowiona z wody, a potem wysuszona na piecu. Wybrzuszały kołdrę, spychały

SPIS TREŚCI

Bracia Strach	5
Koszmar z ulicy Wczasowej	43
Ha! du ju du Mister Bin Laden	87
Lowelas w Berdyczowie Czasoprzestrzennym	113
Komplet wypoczynkowy	125
Kompleks Otelskiej	151
Postowie	195